

KSIĘGA TRZECIA CYKLU RZĄDY MIECZA

WYSPA PRZEZNACZENIA



MORGAN RICE

Morgan Rice

Wyspa Przeznaczenia

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=51923922

Wyspa Przeznaczenia:

ISBN 9781094305110

Аннотация

“Morgan Rice znów dopięła swego! Autorka zbudowała kolejny magiczny świat zamieszkały przez silne postaci. MARSZ PRZETRWANIA jest pełen intryg, zdrad, niecodziennych przyjaźni i innych elementów, które sprawią, że zasmakujesz w każdej stronie. Powieść jest przepiękną akcją – będzie cię trzymać w napięciu do końca.” —Books and Movie Reviews, Roberto MattosNowa porywająca seria fantasy Morgan Rice, autorki bestsellerowej WYPRAWY BOHATERÓW (ponad 1000 pięciogwiazdkowych recenzji – do ściągnięcia za darmo).

W WYSPA PRZEZNACZENIA (księżce trzeciej cyklu Rządu Miecza) 17-letni Royce musi wyruszyć ze swoimi kompanami w daleką podróż za morze, by odnaleźć magiczny przedmiot, który może doprowadzić go do jego ojca. Król zaczyna gromadzić armię, szykując się do ataku i los ludzi spoczywa teraz w rękach Royce’a.

Tymczasem Genevieve wreszcie odkrywa podłą naturę swych szlachetnie urodzonych towarzyszy i musi podjąć ważną decyzję, od której będzie zależało jej życie.

WYSPA PRZEZNACZENIA to epicka opowieść o przyjaciołach i kochankach, o rycerzach i honorze, o zdradzie, przeznaczeniu i miłości. To opowieść o męstwie, wciągająca nas do świata fantasy, w którym się zakochamy. Przemówi do wszystkich grup wiekowych i płci.

Wkrótce dostępna będzie księga czwarta cyklu.

Содержание

Rozdział pierwszy	13
Rozdział drugi	25
Rozdział trzeci	34
Rozdział czwarty	45
Rozdział piąty	56
Rozdział szósty	67
Конец ознакомительного фрагмента.	70

Morgan Rice

Wyspa Przeznaczenia

Morgan Rice

Morgan Rice jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy **KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA**, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii **WAMPIRZE DZIENNIKI**, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych **THE SURVIVAL TRILOGY**, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy **KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY**. Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

PRZEMIENIONA (Księga 1 cyklu Vampire Journals), **ARENA ONE** (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), **WYPRAWA BOHATERÓW** (Księga 1 cyklu Krąg Czarnoksiężnika) oraz **POWRÓT SMOKÓW** (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers) dostępne są nieodpłatnie.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty,

darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

“Jeśli po zakończeniu cyklu KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA uznałeś, że nie warto już żyć, nie masz racji. POWROTEM SMOKÓW Morgan Rice rozpoczyna coś, co zapowiada się na kolejną fantastyczną serię powieści, prowadzących w świat fantasy zamieszkaną przez trolle i smoki. Jest to opowieść o męstwie, honorze, odwadze, magii i wierze w przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć silne postaci, którym kibicujemy na każdym kroku... To powieść, która powinna się znaleźć w bibliotece każdego, kto uwielbia dobrze napisane fantasy.”

– *Books and Movie Reviews*

Roberto Mattos

“Pełna akcji powieść fantasy, która bez wątpienia przypadnie do gustu fanom twórczości Morgan Rice, a także fanom takich powieści jak cykl DZIEDZICTWO Christophera Paoliniego... Fani powieści młodzieżowych pochłoną najnowszą książkę Morgan Rice i będą błagać o kolejne.”

– *The Wanderer, A Literary Journal* (w odniesieniu do *Powrotu smoków*)

“Porywające fantasy, w którego fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intryga. Wyprawa bohaterów opowiada o narodzinach odwagi oraz zrozumieniu celu życia, które prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla miłośników treściwego fantasy – przygody, bohaterowie, środki wyrazu i akcja składają się na barwny ciąg wydarzeń, dobrze ukazujących przemianę Thora z marzycielskiego dzieciaka w młodzieńca, który musi stawić czoła nieprawdopodobnym niebezpieczeństwom, by przeżyć... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

– *Midwest Book Review (D. Donovan, eBook Reviewer)*

“KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontrintrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczkce.”

– *Books and Movie Reviews, Roberto Mattos*

“W pierwszej części epickiej serii fantasy Krag Czarnoksiężnika (obecnie liczy czternaście części), odznaczającej się wartką akcją, autorka zapoznaje czytelników z czternastoletnim Thorgrinem “Thorem” McLeodem, który marzy o tym, by dołączyć do Srebrnej Gwardii, rycerskiej elity, która służy królowi... Styl Rice

jest równy, a początek serii intryguje.”

– *Publishers Weekly*

Książki autorstwa Morgan Rice

RZĄDY MIECZA

MARSZ PRZETRWANIA (CZEŚĆ 1)

BITWA NIEZŁOMNYCH (CZEŚĆ 2)

WYSPA PRZEZNACZENIA (CZEŚĆ 3)

O KORONIE I CHWALE

NIEWOLNICA, WOJOWNICZKA, KRÓLOWA (CZEŚĆ

1)

ZŁOCZYŃCA, WIEŻNIARKA, KRÓLEWNA (CZEŚĆ 2)

RYCERZ, DZIEDZIC, KSIAŻĘ (CZEŚĆ 3)

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ 1)

POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ 2)

POTEGA HONORU (CZEŚĆ 3)

KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ 4)

KRÓLESTWO CIENI (CZEŚĆ 5)

NOC ŚMIAŁKÓW (CZEŚĆ 6)

KRĘGU CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)
LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)
ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)
BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)
SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)
RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)
OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)
NIEBIE ZAKLEĆ (CZEŚĆ 9)
MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)
KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)
POTYCZKI RECERZY (CZEŚĆ 16)

TRYLOGIA O PRZETRWANIU

ARENA JEDEN: ŁOWCY NIEWOLNIKÓW (CZEŚĆ 1)
ARENA DWA (CZEŚĆ 2)

WAMPIRY, UPADŁA
PRZED ŚWITEM (CZEŚĆ 1)

WAMPIRZE DZIENNIKI
PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)
KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)
PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)
POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)
ZARECZONA (CZEŚĆ 6)
ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)
WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)
UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)
NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)
OPĘTANA (CZEŚĆ 12)

Czy wiesz, że napisałam wiele serii powieści? Jeśli jeszcze ich nie czytałeś, kliknij na obrazek poniżej, żeby pobrać pierwsze książki kilku z nich!



Chcesz darmowe książki?

Dopisz się do listy mailingowej Morgan Rice, a otrzymasz bezpłatnie 4 książki, 3 mapy, 1 aplikację, 1 grę, 1 powieść graficzną i ekskluzywne upominki! Aby do niej dołączyć, odwiedź stronę:

www.morganricebooks.com

Copyright © 2019 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976

roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejszy e-book przeznaczony jest wyłącznie do użytku osobistego. Niniejszy e-book nie może być odsprzedany lub odstąpiony innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, należy zakupić dodatkowy egzemplarz dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, choć jej nie zakupiłeś, lub nie została ona zakupiona dla ciebie, powinieneś ją zwrócić i kupić własną kopię. Dziękujemy za poszanowanie ciężkiej pracy autora.

Niniejsza książka jest utworem literackim. Wszystkie nazwy, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest całkowicie przypadkowe. Ilustracja na okładce: Dm_Cherry, użyta na licencji Shutterstock.com.

Rozdział pierwszy

Royce jechał na przodzie, pędząc przez wrzosowisko ku nabrzeżu z prędkością wypuszczonej z łuku strzały, nie spuszczać swych orzechowych oczu z celu. Wiatr rozwiewał jego jasne włosy, a szerokie ramiona stężyły mu z determinacji.

Jechało z nim czworo kompanów, bo większa ich liczba nazbyt przyciągałaby uwagę. Mark mknął u jego boku. Jego przyjaciel był już znacznie silniejszy niż w chwili, gdy Royce go odnalazł. Stalowy hełm przytrzymywał w miejscu jego ciemne włosy, a niepełna zbroja jednego z wojowników Czerwonej Wyspy błyszczała w słońcu.

Matilde i Neave jechały ramię w ramię. Wieśniaczka i Pictianka co rusz rzucały spojrzenie jedna drugiej. Dziewczęta wyglądały zupełnie inaczej. Matilde była rudowłosa i mogłaby wyglądać jak anioł, gdyby nie była tak raptowna, Neave zaś miała ciemne, splecione włosy i nieco ciemniejszą skórę pokrytą błękitnymi tatuażami. Gdy Matilde oznajmiła, że wyrusza z Royce'em, dziewczyna natychmiast podjęła decyzję, że do nich dołączy.

Zaskoczeniem w tym towarzystwie była zwałista sylwetka ser Bolisa, który jechał z nimi zakuty w swoją pomalowaną kobaltową farbą zbroję, błyszczącą w miejscach, gdzie od płytek odbijało się słońce i dowodzącą tak jego bogactwa, jak i zręczności w boju. Młodzieniec był starszy od Royce'a o rok lub

dwa i Royce był pewien, że rycerz darzy go jedynie odrobinę większą sympatią, niż gdy pierwszy raz zjawił się na ziemiach hrabiego Undine'a. Royce nie pojmował, dlaczego wyruszył w tę podróż z nimi, lecz nie mógł odrzucić pomocy.

Jego jastrzębica, Iskra, kołowała nad wrzosowiskiem i jej oczami Royce ujrzał biegnącą prosto przed nimi drogę, bezpieczną i niezmienną aż do portu w Ablaver. Royce był pewien, że gdy już tam dotrą, uda im się znaleźć okręt, który zabierze ich na Siedem Wysp, gdzie – jak powiedziała mu wiedźma Lori – ukryte było Lustró Mądrości.

Tam zdołają odnaleźć jego ojca.

Ta perspektywa napawała Royce'a zarówno niecierpliwością, jak i lękiem. Niecierpliwością, bo w tej chwili niczego nie pragnął tak bardzo jak odnaleźć ojca; musiał go odnaleźć, jeśli zamierzał sprowadzić go z powrotem, by dowodził w boju przeciwko możnym. Przerazenie zaś brało się z miejsca, w które musieli się udać, by go odnaleźć.

– Jesteś pewien, że musimy wyruszyć na Siedem Wysp? – zapytał ser Bolis.

Royce wzruszył ramionami.

– Lori tak rzekła.

Lecąca nad nimi jastrzębica pisnęła, jak gdyby potwierdzała jego słowa. Hrabia Undine wyjąwił Royce'owi, że jego ojciec wyruszył na poszukiwania lustra, wiedźma zaś rzekła mu, gdzie ono się znajduje.

– A ty zamierzasz wyprawić się za morze, ufając słowom

jakiejś wiedzy? – zapytał surowo ser Bolis.

– Możesz pozostać tutaj, jeśli wolisz – zasugerował Mark tonem, który świadczył o tym, że nie ufa rycerzowi ani na krzywą.

– I powierzyć tak ważką kwestię przestępcom i Pictom? – spytał ser Bolis. Royce zaczął się zastanawiać, jak ktoś tak młody może być zarazem tak nadęty.

– Czy coś ci nie odpowiada w moich ludziach, intruzie? – zapytała Neave, sięgając po nóż.

– Dosyć tego – przerwał im Royce. – I bez tego jest nam trudno. Musimy działać wspólnie.

Zdumiał się nieco, gdy sprzeczka ucichła.

– Ufają ci – odezwał się Mark, gdy pozostali odsunęli się od siebie nieco. – Gdy przewodzisz, ludzie podążają za tobą.

– Czy to dlatego wyruszyłeś ze mną? – zapytał Royce.

Mark potrząsnął głową.

– Wiesz, że nie.

– Pomimo tego, że uważasz Siedem Wysp za niebezpieczne miejsce?

– Są niebezpieczne – upierał się Mark. – Są tam stwory, które... które nie są nawet podobne ludziom. Są tam trolle i nieumarli, i jeszcze straszniejsze bestie. Czy jesteś pewien, że właśnie tam musimy się udać?

Jak Royce mógł mu to wszystko wyjaśnić? Jak mógł wyjaśnić mu, co stało się z Lori, która na powrót stała się młoda i która tyle widziała? Powiedziała mu, gdzie jest jego ojciec i Royce musiał

go poszukać, bez względu na to, jak trudne by to było.

– Jestem tego pewien – odparł.

– Cóż, wystarczająco wiele razy ocaliłeś mi życie – powiedział Mark. – Gdzie ty idziesz, tam i ja podążam.

Royce nie potrafił rzec, jak wielką wdzięczność odczuł, słysząc te słowa. Biorąc pod uwagę wszystko, co ich czekało... choć nie to niepokoiło go najbardziej. Niepokoiło go to, co pozostawił za sobą. Ledwie co zaręczył się z Olivią i jego myśli powracały do córki hrabiego Undine'a. Żałował, że nie mogli spędzić razem więcej czasu, nim wyruszył w drogę... a jeśli jej twarz zmieniała się w jego wyobraźni i zaczynała wyglądać jak twarz Genevieve... cóż, przynajmniej te myśli potrafił od siebie odpędzić.

Gnając naprzód, skupiał swą uwagę na jeździe, by nie myśleć o Genevieve i o tym, jak odepchnęła go od siebie, ani o tym, jak prędko rozwinęło się jego uczucie do Olivii.

Nadal o tym rozmyślał, gdy Iskra zanurkowała i usiadła mu na ramieniu, wbijając w nie szpony. Pisnęła, lecz głos, który usłyszał Royce należał do Lori. Słowa wiedźmy docierały bez trudu do jego świadomości.

Podążaj za ptakiem, Royce. Zaprowadzi cię do kogoś, kogo musisz poznać.

Iskra wzbiła się w powietrze i Royce powiódł oczami za jastrzębicą, zastanawiając się, jak bardzo kontroluje ją wiedźma i jakie tak naprawdę są intencje Lori. Wyjawiała mu już, że w jego przyszłości widziała okrucieństwo i śmierć, obwiniła go już po

części za to, co zdarzyło się w jego wsi. Royce nie miał powodu, by sądzić, że chce mu pomóc.

Tyle tylko, że zdawała się mu pomagać, a skoro wiedziała, gdzie jest jego ojciec, Royce musiał jej zaufać. Młodzieniec podążał więc śladem jastrzębicy, jechał za Iskrą lecącą ponad wrzosowiskiem w stronę miejsca, gdzie stała długa chata pokryta darnią. Z jakiegoś miejsca nieopodal w górę wzbijał się dym.

Przed chatą płonęło ognisko i zdawało się, że zostało w nim spalone wszystko – od mebli po odzienie. Ogień przygasał i szczątki przedmiotów wciąż się tliły. Obok ogniska leżały dwa ciała, ubrane w skrawki odzienia, które wyglądało na żołnierskie mundury. Były tak przesiąknięte krwią, że trudno było stwierdzić, po której stronie walczyli. Royce nie widział jednak nikogo w pobliżu.

– Hejże! – krzyknął, zsiadając z konia. – Czy jest tu kto?

Trzymał dłoń na rękojeści zatkniętego u pasa kryształowego miecza, nie wiedząc, czy nie napotkają tu opryszków lub innego wroga. Ktoś musiał tu być i zabić tych mężczyzn, i to wcale nie tak dawno temu, ale teraz chata wyglądała na opuszczoną, a drzwi były rozwarte i przekrzywione, jak gdyby ktoś otworzył je kopniakiem.

Wtem zza progu dobiegło warczenie i gdy Royce obrócił się, zobaczył stojące na progu stworzenie o żółtych ślepiach.

– Wilk! – krzyknęła Matilde, gdy jej koń cofnął się.

Nie był to jednak wilk. Ten stwór był większy i można w nim było dostrzec zarówno cechy lisie, jak i wilcze. Kły miał

jednak tak samo długie, jak wilcze, a pazury wyglądały na ostre. Był pokryty krwią i oczywiste było, że była to krew leżących nieopodal mężczyzn.

– To nie wilk – powiedziała Neave. – To bhargir, magiczne stworzenie.

– To tylko duży wilk – sprzeciwił się ser Bolis, zsiadając z konia i dobywając miecza.

– To nie jest wilk – upierała się Neave. – Wśród mojego ludu krążą o nich opowieści. Jedni mówią, że stworzyli je źli czarnoksiężnicy, inni mówią, że to dusze zmarłych, albo ludzie, którzy noszą pozszywane skóry różnych bestii i zmieniają swoją postać.

Czymkolwiek ten stwór był, wyglądał na rozwścieczonego. Warcząc ruszył powoli naprzód i Royce spostrzegł, że zwierzę utkwili w nim swoje wielkie żółte ślepia. Przez chwilę myślał, że stwór rzuci się na niego. Wtedy Iskra przysiadła znów na jego ramieniu.

– Wabi się Gwylim.

– Kto? – zapytał Royce. – Co tu się dzieje, Lori?

Jastrzębica jednak znów poderwała się do lotu. Royce podejrzewał, że nie usłyszałby żadnej odpowiedzi nawet gdyby tak się nie stało. Zwrócił wzrok na ser Bolisa, który szedł naprzód z uniesionym mieczem, jak gdyby zamierzał zamachnąć się na bestię.

– W porządku – powiedział. – Ja się tym zajmę.

Rycerz zaczął zamachiwać się, by zadać cios, lecz Royce

zagroził mu drogę niemal bez zastanowienia i chwycił młodego rycerza za ramię.

– Poczekaj – powiedział. – Poczekaj, Bolisie.

Poczuł, że rycerz zatrzymuje się, ale nadal trzymał miecz w gotowości.

– Ten zwierz ukatrupił dwóch mężczyzn i stanowi zagrożenie dla nas – odparł Bolis. – Powinniśmy go usiec, żeby nie zrobił już nikomu krzywdy!

– Jeszcze nie – odparł Royce. Przeniósł spojrzenie na... jak Neave nazwała tego stwora? Bhargir? Royce dostrzegł teraz, że oblepiająca jego futro krew nie należała jedynie do zabitych mężczyzn. Przez cały bok zwierzęcia biegła rana. Nic dziwnego, że stwór warczał na nich.

– Gwylim? – zapytał Royce.

Niemal natychmiast warczenie ustało i bhargir przechylił łeb na bok, przypatrując się mu ze spojrzeniem znacznie rozumniejszym niż wilcze.

– Rozumiesz co nieco z tego, co mówię, prawda? – zgadywał Royce. – Przysłała mnie tu wiedźma Lori. Skoro ona wie, jak się wabisz, może i ty ją znasz?

Zwierzę nie potrafiło mu odpowiedzieć, ale uspokoiło się. Podeszło do Royce'a i położyło się u jego stóp. Patrząc na leżącego barghira, Royce spostrzegł coś, co zdawało się niemożliwe: rana na jego boku zaczęła się zamykać i goić z niemal nieprawdopodobną szybkością. W tej bestii bez wątpienia nie było nic normalnego.

Royce nie był pewien, jak ma postąpić. Lori z całą pewnością pokierowała go do tego stworzenia z jakiegoś powodu, ale jakiego? Zajrzał do chaty, szukając odpowiedzi, lecz chata była pusta. Wszystko, co w niej było, płonęło teraz przed nią. Czemu ci dwaj szabrownicy mieliby to zrobić?

Nie będąc pewnym odpowiedzi, Royce podszedł do swego konia. Zauważył, że siedzący po przeciwnej stronie ogniska bhargir obserwuje go ślepiami, w których odbijał się blask pobliskich płomieni.

– Nie wiem, co z tobą począć – rzekł. – Ale zgaduję, że jesteś wystarczająco rozumny, by samemu o tym zdecydować. Czy chcesz iść z nami?

Wilcza bestia podeszła i usiadła obok Royce'owego wierzchowca w odpowiedzi. Z jakiegoś powodu Royce przeczuwał, że z łatwością dotrzyma im kroku.

– To teraz zabieramy ze sobą potwory? – zapytał ser Bolis.

– Nie jest dziwniejszy niż każde z nas – powiedziała Matilde.

– Jest znacznie bardziej niebezpieczny – rzekła Neave z poważnym wyrazem twarzy. – To nie jest dobry pomysł.

Czy był to dobry pomysł, czy nie, Royce był pewien, że tak powinien postąpić. Popędził konia naprzód, w kierunku Ablaver. Lecąca nad nimi Iskra przewodziła im. Jeśli ptak miał jakiegokolwiek pojęcie o tym, dlaczego Royce miał natrafić na bhargira, który biegł teraz obok nich, nie wyjawiał mu żadnych odpowiedzi.

Zapach miasta Ablaver uderzyła Royce'a jeszcze zanim je zobaczył. Woń ryb zmieszana z zapachem morza wskazywały na to, czym zajmowano się w mieście. Ten zapach sprawiał, że miał ochotę zawrócić i wyruszyć w drogę powrotną, ale jechał dalej.

Widok miasta nie wywarł na nim lepszego wrażenia. Szpecily je stojące po jednej stronie stacje wielorybników. Na widok miejsca, w którym patroszono tak wielkie, piękne stworzenia, Royce poczuł mdłości. Z trudem je opanował.

– Nie możemy wyjawić nikomu, kim jesteśmy – przestrzegł pozostających.

– Bo przecież grupa, w której idą Pictowie i rycerzy może być kimkolwiek – zauważył Mark.

– Jeśli ktoś spyta, jesteśmy najemnikami wracającymi z wojny, którzy szukają kolejnego angażu – odparł Royce. – Ludzie pewno pomyślą, że jesteśmy dezertkami, bandytami albo kimś tego pokroju.

– Nie chcę, by brano mnie za bandytę – odrzekł Bolis. – Jestem lojalnym żołnierzem hrabiego Undine'a.

– I teraz najlepiej dowiedziesz tej lojalności, udając kogoś innego – powiedział Royce. Rycerz przystał na to. Wysmarował nawet tarczę błotem, mamrocząc coś pod nosem, by nikt nie zobaczył wymalowanego na niej herbu. – Niech nikt nie ściąga kaptura z głowy. Szczególnie ty, Neave.

Royce nie wiedział, jak mieszkańcy miasta zareagowaliby, gdyby wiedzieli, że pośród nich znajduje się Picti. Nie chciał toczyć walki, by przedrzeć się do portu. Wystarczające było już to, że nadal biegł koło nich Gwyllim, którego wielkość i przerażający wygląd zdradzały, że nie jest wilkiem.

Wjechali do miasta, rozglądając się po walących się budynkach, i skierowali się w stronę portu i stojących w nim okrętów. Większa część z nich była jedynie nieco większa niż łodzie rybackie, ale niektóre ze statków wielorybniczych były duże, a wśród nich stały kogi i długie okręty, które wyglądały, jak gdyby zawinęły do tego portu, by handlować.

W mieście były tawerny, z których Royce'a dobiegał hałas pijackiej zabawy i od czasu do czasu odgłosy przemocy, oraz uliczne kramy, na których zepsute mięso leżało obok pięknych przedmiotów z dalekich krain.

– Powinniśmy się rozdzielić – zasugerowała Matilde. Przyglądała się z ukosa jednej z tawern.

Royce potrząsnął głową.

– Musimy trzymać się razem. Pojedziemy do portu, znajdziemy okręt i dopiero wtedy rozejrzemy się po mieście.

Matilde nie wyglądała na uradowaną, lecz mimo tego ruszyli w stronę portu. Tutaj życie biegło powoli. Marynarze stali beczynnie lub wygrzewali się w słońcu na pokładach statków.

– Jak to zrobimy? – zapytał Mark. – Zgaduję, że znalezienie kapitana, który wyruszyłby na Siedem Wysp nie będzie łatwe.

Royce nie był pewien, czy istnieje właściwa odpowiedź na to

pytanie. Jak mniemał, była tylko jedna możliwość, i wcale nie była cicha.

– Posłuchajcie! – zawołał, przekrzykując portowy gwar. – Potrzebny mi okręt. Czy jest tu jakiś kapitan, który zabierze nas na Siedem Wysp?

– Czy to na pewno rozsądne? – zapytał Bolis.

– Jak inaczej kogoś znajdziemy? – zapytał Royce. Nawet gdyby chodzili po tawernach i pytali po cichu, wieści szybko by się rozeszły. Może ten sposób był nawet lepszy. Podniósł głos. – Zapytam raz jeszcze. Kto zabierze nas na Siedem Wysp?

– Dlaczego chcecie się tam udać? – rozległ się męski głos. Mężczyzna, który wyłonił się z ciżby, był odziany w jasne jedwabie kupca, a wygodne życie sprawiło, że jego brzuch przypominał beczułkę.

– Mam tam sprawę do rozwiązania – odrzekł Royce, nie chcąc wyjawiać nic więcej. – Są tam ludzie, którzy zechcą skorzystać z umiejętności moich i moich kompanów.

Mężczyzna podszedł bliżej. Royce przyglądał się uważnie jego twarzy, wypatrując jakichkolwiek oznak, że mężczyzna ich rozpoznał. Nic jednak nie dostrzegł.

– Jakich umiejętności? – spytał mężczyzna. – Jesteście błaznami, sztukmistrzami?

Royce pomyślał szybko nad odpowiedzią. Być może nie ujął tak łatwo za najemników, ale to...

– Oczywiście – odparł. Celowo nie spojrzął w oczy Bolisowi. – Mamy angaż na Siedmiu Wyspach.

– Muszą wam sownie płacić, skoro godzicie się tam udać
– powiedział kapitan. – Co oznacza, że stać was na opłacenie podróży, tak?

Royce wyciągnął niedużą sakiewkę.

– Do pewnego momentu.

Jeśli dzięki temu dotrą tam, gdzie jest jego ojciec, wyda każdą monetę z tej sakiewki, a nawet więcej. Rzucił sakiewkę kapitanowi. Mężczyzna złapał ją.

– Czy to wystarczy? – zapytał Royce.

W ten sposób także ryzykował. Kapitan mógł odwrócić się i zabrawszy złoto uciec na swój statek, a jeśli Royce spróbowałby go powstrzymać, ujawniłoby to jedynie, kim jest. Na chwilę wszystko zamarło.

Kapitan pokiwał głową.

– No, wystarczy. Odstawię was na Siedem Wysp w jednym kawałku. Ale później radźcie sobie sami.

Rozdział drugi

Genevieve opuściła miasto niepewnym krokiem, oszołomiona. Nie mogła uwierzyć w to, co stało się przed zamkiem Altfora. Poszła tam pełna nadziei, lecz teraz czuła się tak, jakby w środku niej była pustka. Sądziła, że teraz, gdy wojska księcia zostały rozgromione, gdy Royce odniósł zwycięstwo, być może będzie mogła pójść do niego, będzie mogła być z nim.

Wyobraźnia podsuwała jej jednak wciąż widok pierścionka na palcu Olivii, obwieszczającego jej zaręczyny z mężczyzną, którego kocha.

Genevieve potknęła się i zachwiała na nierównej drodze i ból przeszył jej wykręconą kostkę. Utykając, ruszyła jednak przed siebie, bo cóż innego jej pozostało? Na wrzosowisku nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc.

– Powinnam była posłuchać wiedźmy – powiedziała na głos, idąc dalej. Ta kobieta, Lori, próbowała ostrzec ją, że czeka ją jedynie smutek, jeśli pójdzie do zamku. Wskazała Genevieve dwie ścieżki i przyrzekła, że ta, która nie prowadzi do Royce’a, ją uszczęśliwi. Genevieve nie uwierzyła jej, ale teraz... teraz czuła, jakby pękało jej serce.

Po części zastanawiała się, czy nadal może ruszyć tą drugą ścieżką, ale nawet myśląc o tym, Genevieve wiedziała, że ta szansa przepadła. Nie chodziło jedynie o to, że nie była w

tym samym miejscu. Chodziło o to, że widziała, co stało się z Royce'em i nie będzie potrafiła być już nigdy szczęśliwa z nikim innym.

– Muszę udać się do Fallsportu – powiedziała Genevieve. Miała nadzieję, że droga, którą szła, zaprowadzi ją do wybrzeża. Kiedyś wreszcie tam dotrze i znajdzie statek, który zabierze ją tam, gdzie powinna się udać.

Sheila pewno jest już w Fallsportcie. Genevieve dołączy do niej i razem obmyślą, jak najlepiej wykorzystać wszystko, co się stało, o ile istniała taka możliwość. Czy dało się wyłuskać coś dobrego z sytuacji, w której nosiła w sobie dziecko Altfora, mężczyzna, którego kocha, porzucił ją, a całe księstwo pograżyło się w chaosie?

Genevieve tego nie wiedziała, ale być może z pomocą siostry zdoła coś obmyślić.

Wędrowała dalej przez wrzosowisko, aż zaczął nękać ją głód, a zmęczenie dokuczać w kościach. Być może łatwiej byłoby jej to znieść, gdyby wiedziała, jak długa droga dokładnie ją czeka – albo kiedy znajdzie pożywienie – ale wrzosowisko zdawało się rozciągać przed nią w nieskończoność.

– Może powinnam po prostu położyć się tutaj i umrzeć – powiedziała Genevieve, i choć nie myślała tak naprawdę, w głębi duszy... nie, nie będzie myślała w ten sposób. Nie będzie.

Genevieve zdało się, że w oddali dostrzegła ludzi, ale ruszyła w innym kierunku, wiedząc że spotkanie ich nie mogłoby przynieść jej nic dobrego. Na samotną kobietę w głuszy

niebezpieczeństwo czyhało ze strony każdej grupki dezertarów, żołnierzy, a nawet rebeliantów. Jako że była oblubienicą Altfora, ludzie Royce'a nie mieli powodów, by pałać do niej sympatią.

Szła zatem przed siebie, oddalając się od nich, aż upewniła się, że zniknęli jej z oczu. Poradzi sobie sama.

Tyle że nie była sama, nieprawdaż? Genevieve położyła dłoń na brzuchu, jak gdyby czuła rozwijające się w niej życie. Dziecię Altfora, ale także jej. Musi znaleźć sposób, by je chronić.

Szła dalej, a słońce zaczęło chylić się ku widnokręgowi, rozpalając na wrzosowisku ogniste punkty. Ten ogień jednak wcale nie ogrzewał Genevieve i dziewczyna spostrzegła, że jej oddech zaczyna parować w powietrzu. Zapowiadało się na zimną noc. W najlepszym wypadku oznaczało to, że będzie musiała znaleźć jakiś dół lub rów, w którym będzie mogła się skulić i rozpaść ognisko z torfu lub paproci, które uda jej się zebrać.

W najgorszym zaś, że umrze, że zamarźnie na śmierć na wrzosowisku, które nie było gościnne dla nikogo, kto próbował je przemierzyć. Być może byłoby to lepsze niż błąkanie się i śmierć z głodu. Po części Genevieve pragnęła jedynie usiąść na ziemi i obserwować błędzące po wrzosowisku ogniki światła aż...

Genevieve podskoczyła lekko, gdy spostrzegła się, że nie wszystkie pomarańczowe i czerwone ogniki na wrzosowisku dokoła niej to odbicie słońca. Przed sobą w oddali dostrzegła ogień, który zdawał się płonąć w jakimś budynku. Byli tu ludzie.

Wcześniej widok ludzi skłonił Genevieve do ruszenia w

inną stronę, ale wtedy słońce stało wysoko i było ciepło, a ludzie zwiastowali jedynie zagrożenie. Teraz, gdy zapadał zmrok i pochłodziło, niebezpieczeństwo równoważyła nadzieja uzyskania schronienia.

Utykając, Genevieve ruszyła w kierunku ognia, choć z trudem stawiała każdy kolejny krok. Czuła, jak jej stopy zapadają się w torfową ziemię wrzosowiska, a osty drapią jej nogi, ale nie ustawała. Miała wrażenie, że to jakaś bariera, którą narzucił jej świat natury, która miała haczyć o stopy i drapać, i wreszcie odebrać wolę każdemu, kto próbuje ją pokonać. Pomimo tego Genevieve szła przed siebie.

Z wolna światło znajdowało się coraz bliżej, a gdy księżyc zaczął wschodzić i oświetlać większą połąć ziemi, zobaczyła, że stoi na niej gospodarstwo. Genevieve przyspieszyła kroku i szła teraz tak szybko, jak tylko potrafiła, będąc tak zmęczoną i obolałą. Była już blisko, gdy z budynku wyłonili się ludzie.

Przez chwilę Genevieve skuliła się ze strachu i jakaś część niej podpowiadała jej, by uciec. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić, szła więc naprzód, utykając, aż dotarła do gospodarstwa, w którym z narzędziami rolnymi w dłoniach stali mężczyzna i kobieta, jak gdyby lada chwila spodziewali się napaści. Mężczyzna trzymał w rękach widły, a kobieta sierp. Opuścili je szybko, gdy spostrzegli, że Genevieve jest sama.

Byli to starsi ludzie, tak ogorzali, jak gdyby od kilku dekad uprawiali ten spłachetek ziemi, hodując kilka rodzajów warzyw i wypasając niewielką trzodę na wrzosowisku. Mieli na sobie

prostą chłopską odzież, a gdy przyjrżeli się jej, na ich twarzach zamiast podejrzliwości pojawiło się współczucie.

– Och, spójrz tylko na nią, Thomie – odezwała się kobieta. – Biedaczka musi być przemarznięta.

– A jakże, widzę, Anne – odpowiedział mężczyzna. Wyciągnął dłoń do Genevieve. – Chodź, dziewczyno, lepiej wejdźmy do środka.

Poprowadził ją do chaty o niskim stropie, w której w wiszącym w kącie izby kociołku warzył się gulasz. Mężczyzna zaprowadził Genevieve do stojącego przed paleniskiem krzesła i dziewczyna opadła na nie, niemal się w nim zatapiając. Wygodne siedzisko uświadomiło jej jedynie, jak bardzo była zmęczona.

– Posiedź tu i odpocznij sobie – powiedziała kobieta.

– Chwileczkę – rzekł mężczyzna. – Czy ona nie przypomina ci kogoś, Anne?

– Jestem nikim – rzuciła szybko Genevieve. Gdy ludzie we wsi rozpoznali ją, wściekli się jedynie dlatego, że była żoną Altfora, choć nie miała kontroli nad tym, czego dopuszczał się syn księcia.

– Nie, ja cię znam – odrzekła kobieta. – Jesteś Genevieve, ta, którą porwał syn księcia.

– Ja...

– Przed nami nie musisz ukrywać, kim jesteś – powiedział Thom. – Nie będziemy cię osądzać przez to, że zostałeś porwana. Żyjemy wystarczająco długo, by widzieć, jak możni zabierają dziewczęta z tej okolicy.

– Tutaj jesteś bezpieczna – powiedziała Anne, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Genevieve nie potrafiła nawet powiedzieć, jak wdzięczna była za te słowa. Gdy rolnik podał jej talerz gulaszu, zjadła łąpczywie, dopiero teraz zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo była głodna. Przykryli ją kocem i Genevieve usnęła niemal natychmiast, zapadając w pozbawioną snów ciemność, o jakiej wcześniej mogła jedynie marzyć.

Gdy się zbudziła, promienie słońca wpadały przez okna chaty tak silnie, że Genevieve zgadywała, że musi być już niemal południe. Po chacie krzątała się Anne, lecz nigdzie nie było ani śladu jej męża.

– Och, zbudziłaś się – powiedziała. – Jest chleb i ser, i trochę piwa, jeśli masz chęć się posilić.

Genevieve podeszła do kuchennego stołu i zaczęła jeść łąpczywie.

– Przepraszam – wybąkała.

– A co takiego zrobiłaś? – spytała ją Anne.

– No cóż, pojawiłam się tutaj tak niespodziewanie – odparła Genevieve. – I weszłam do waszego domu, najpewniej stawiając was w niebezpieczeństwie, jeśli ktokolwiek dowie się, że tu jestem. I... cóż, za wszystko, co działo się, kiedy Altfor władał księstwem.

– To nie ty powinnaś za to przeproszać – obstawała Anne. – Sądzisz, że nie wiem, jak sprawy się mają, gdy możni biorą sobie wieśniaczki? Czy sądzisz, że zawsze byłam stara?

– Ty... – zaczęła Genevieve.

Anne pokiwała głową.

– Za starego króla było lepiej, ale nie idealnie. Zawsze byli możni, którzy uważali, że mogą zabrać to, co im się podoba. Po części to właśnie to ich poróżniło, a przynajmniej takie chodziły słuchy.

– Przepraszam – powiedziała Genevieve, gdy zrozumiała, o czym mówiła staruszka.

– Przestań to powtarzać – powtórzyła Anne. – Nie masz za co przeproszać. Mówię ci to, byś wiedziała, że tutaj nic ci nie grozi.

– Dziękuję – rzekła Genevieve, bo w tej chwili bezpieczeństwo było dla niej tak cenne, że niemal nikt nie był jej w stanie go zapewnić. Rozejrzała się po chacie. – Gdzie twój mąż?

– Och, Thom oporządza owce. Nie żeby wymagały dużo oporządzania. Dać im trawę do poskubania i zagrodę do spania i są zadowolone. Ludziom trudniej dogodzić, zawsze chcą więcej.

Genevieve nietrudno było dać temu wiarę. Jak wiele problemów brało się z tego, że zawsze byli na świecie ludzie, którzy sądzili, że wolno im zabrać wszystko, a i tak pragnęli więcej?

– Czy myślałaś o tym, co teraz zrobisz? – zapytała ją Anne.

– Pomyślałam... moja siostra jest bezpieczna w Fallsportcie – odpowiedziała Genevieve. – Pomyślałam, że mogłabym się udać do niej.

– To długa podróż – rzekła Anne. – Za morze, a jak zgaduję,

nie masz też za bardzo złota, by opłacić podróż.

Genevieve potrząsnęła głową. Im dłużej rozważała ten pomysł, tym mniej rozsądny się wydawał. Chęć dołączenia do Sheili była oczywistą reakcją, ale jednocześnie niemądrą. Oznaczałaby jedynie, że obie będą próbowały przeżyć życie uciekając, zawsze zastanawiając się, kiedy z ciemności spadnie na nie cios.

– Cóż, nie mamy złota, więc z tym ci nie pomożemy – powiedziała Anne. – Ale możesz tu zostać przez jakiś czas, jeśli chcesz. Przyda nam się pomoc w gospodarstwie, a na tym pustkowiu nikt cię nie odnajdzie.

Szczodrość tej kobiety była dla Genevieve niemal nie do zniesienia. Poczowała nawet, że na myśl o tym w kącikach jej oczu zaczynają wzbierać szczypiące łzy. Jak by to było, gdyby tu pozostała, gdyby wszystko dobiegło kresu?

Wtem powróciły do niej myśli o pierścieniu Olivii. Sądziła, że znajdzie szczęście z Royce'em, ale sprawy potoczyły się bardzo źle. Nie nadawała się, by polubownie rozwiązać tę sprawę.

I tak po prawdzie, miała już plan. Obmyśliła go z Sheilą, tyle że w porywie emocji, gdy uciekała z miasta, całkiem o nim zapomniała. Teraz, gdy ochłoneła i przespała się, a nawet zaczęła myśleć, ten plan wracał do niej. Wtedy był to najlepszy pomysł, i teraz było tak samo.

– Nie mogę tu zostać – oznajmiła Genevieve.

– Dokąd zatem się udasz? – zapytała ją Anne. – Co zrobisz? Czy aż tak zależy ci, by odnaleźć tę twoją siostrę?

Genevieve pokręciła głową w odpowiedzi, bo wiedziała, że to nie mogło się udać. Nie, nie mogła wyruszyć na poszukiwania siostry. Musiała odszukać swego męża. Musiała go odnaleźć i – jeśli zbierze się na odwagę – odgrywać rolę, którą przypisał jej los, rolę jego żony. Jeśli zdoła znieść to do chwili, gdy urodzi się dziecko i zostanie uznane za dziedzica, będzie mogła pozbyć się Altfora i władać księstwem jako matka jego dziedzica, dla dobra wszystkich.

Był to desperacki plan, ale w tej chwili jedyny, jaki miała. Najtrudniej będzie jej wprawić wszystkie jego części w ruch. Nie wiedziała, gdzie jest Altfor. Wiedziała jednak, dokąd się uda: poniósł klęskę, a więc będzie szukał pomocy. Zwróci się do króla. Genevieve wiedziała już, dokąd musi pójść.

– Muszę dostać się na królewski dwór – powiedziała.

Rozdział trzeci

Royce zaciskał mocno dłonie na relingu statku, pragnąc przyspieszyć prędkość, z jaką płynął. Jego wzrok błędził po falach, które obserwował oczami Iskry. Lecząca nad nimi jastrzębica zatoczyła koło w powietrzu i pisnęła. Leciała nad falami i od czasu do czasu nurkowała w ich stronę, by spaść na jakiegoś małego morskiego ptaka, który wydał jej się kuszącym celem.

Royce skupiał swój wzrok jednak nie tylko na tym. Zanurzył się tak głęboko w świadomość Iskry, jak tylko mógł, szukając jakiegokolwiek śladu Lori, jakiegokolwiek szansy, by pomówić z wiedźmą, która posłała ich na wyprawę, by znaleźć jego ojca. Nic jednak nie znalazł. Widział jedynie rozkołysane fale i migoczące na nich promienie słońca.

– Stoisz tu od kilku godzin – odezwał się Mark, stając obok niego.

– Z pewnością nie aż tak długo – odparł Royce.

– Od kiedy słońce weszło – odpowiedział nieco zatroskany Mark. – Ty i wilk.

Siedzący obok Royce'a Gwyllim sapnął. Bhargir widocznie nie lubił, gdy mówiło się o nim jak o zwykłym wilku. Royce zastanawiał się w czasie tej podróży, jak wiele to stworzenie rozumie. Iskra kilkakrotnie przysiadła obok Royce'a i chłopak odnosił wrażenie, że toczyła się pomiędzy nimi jakaś

niewypowiedziana rozmowa.

– Gwyllim nie jest wilkiem – odparł Royce. – A ja miałem nadzieję, że Lori przekaże mi kolejną wiadomość.

– Wiem – powiedział Mark.

– Czy coś jest nie tak? – zapytał Royce.

– Cóż, to ja musiałem łagodzić spory pomiędzy całą resztą.

– Pewnie jest ich niemało – zasugerował Royce.

– Zbyt dużo – odpowiedział Mark. – Matilde i Neave chyba stwierdziły, że kłótnia to najlepszy sposób, by okazywać komuś miłość. Bolis jest strasznie w sobie zadufany, a obecność Pictianki tylko go złości.

– A ty, Marku? – spytał Royce. – Co ty o nich sądzisz?

– Sądzę, że dobrze, iż są tu z nami – odpowiedział chłopak. – Pictianka wydaje się być żywiołowa, a Matilde nigdy się nie poddaje. Bolis może i jest rycerzem, ale to przynajmniej znaczy, że wie, jak władać tym swoim mieczem. Ale to ma sens jedynie wtedy, gdy ty im przewodzisz, Royce, a cały dzień spędziłeś tutaj.

Tak było. Miał nadzieję, że spostrzeże swego ojca albo chociaż znajdzie sposób, by pomówić z wiedźmą, która posłała go w drogę, by go odnalazł. Z tego powodu utkwiał wzrok przed sobą i nie zwracał zbytnio uwagi na to, co dzieje się na pokładzie. Uważał przynajmniej, że wszystko idzie po jego myśli, bo zmierzali we właściwym kierunku.

– Jak sądzisz, jak wygląda sytuacja w królestwie? – zapytał Royce Marka.

– Martwisz się o swych braci? – spytał chłopak.

Royce przytaknął. Lofen, Raymond i Gareth byli odważni i zrobią wszystko, co w ich mocy, by wesprzeć ich sprawę, ale ich możliwości mają kres, a już raz ich pojmano.

– O nich i o Olivię – odrzekł. Nawet Markowi nie wspomniał, że myśli o oblubienicy stapiały się z myślami o Genevieve, gdyż zdawało mu się to zdradą kogoś, kto jest dobry i czysty – i kogo ojciec dał im tak wiele – dla kogoś, kto już go od siebie odepchnął.

– Niedługo do niej powrócimy – powiedział Mark, klepiąc Royce’a po ramieniu i przez chwilę Royce nie mógł przypomnieć sobie, którą z nich jego przyjaciel miał na myśli.

– Taką mam nadzieję – powiedział. Spojrzał ponownie oczami Iskry i dlatego dostrzegł Siedem Wysp w oddali dużo wcześniej niż inni.

Wyspy leżały spowite chmurami mgły, płynącej razem z falami. Spiczaste skały wysuwały się z wody dokoła nich niczym kły wielkich bestii. Naprawdę były tam wielkie bestie – Royce spostrzegł wieloryba wyskakującego ponad powierzchnię wody. Jego cielsko wynurzyło się z wody, rozbryzgując ją w kaskady drobnych kropelek. Skały były przystrojone wrakami statków, które próbowały dostać się na wyspy, nie znając bezpiecznych dróg. Ten widok wystarczył, by Royce odczuł wdzięczność, że w ogóle zdołali znaleźć kapitana, który zechciał ich tu zabrać.

Same wyspy były zaś połączeniem zieleni i czarnych skał, skupione wokół laguny, w sercu której leżała jedna z nich.

Większą część z nich porastał torf i drzewa, a piasek na nich była tak ciemny, że musiał skruszyć się ze stojących na nich granitowych i bazaltowych skał. Środkowa wyspa wyglądała na wulkan buzujący wściekłym czerwonym blaskiem i Royce zdał sobie teraz sprawę, że otaczająca wyspy mgła nie była wcale mgłą, ale dymem opadającym ku ziemi tak, że tworzył wokoło nich jak gdyby pierścień.

Lustro Mądrości jest gdzieś tam, a skoro wyruszył na jego poszukiwania, Royce miał również nadzieję, że będzie tam i jego ojciec.

– Łąć przed nami! – zawołał do reszty, wskazując palcem przed siebie.

Kapitan okrętu podszedł do nich i uśmiechnął się.

– Gdzie?

Widziane jego własnymi oczyma, wyspy ukazały się Royce'owi jako szereg kropek, które rosły bardzo powoli.

– Dotarliśmy do celu – powiedział kapitan. Wyciągnął bukłak zza pasa. – Musimy napić się z tej okazji i udobruchać duchy morza.

Podał bukłak Royce'owi, który wziął go i pociągnął łyk z grzeczności. Napitek, który był w środku, rozpałił ogień w jego gardle. Mark także go wziął, wyraźnie szukając sposobu, by odmówić, lecz kapitan obstawał przy tym. Upił łyk i zaczął kasać.

– Teraz, kiedy jesteśmy już bliżej – powiedział kapitan. – być może wyjawisz nam wreszcie, dlaczego się tu znalazłeś. Szukasz

swojego ojca, tak?

Dopiero po chwili do Royce'a dotarło, co powiedział mężczyzna.

– Nie mówiłem ci o tym – powiedział Royce.

– Och, nie udawaj tajemniczego – odrzekł kapitan. – Sądziłeś, że po wioskach nie rozejdą się pogłoski? Jesteś Royce, ten, który obalił poprzedniego księcia. Szukasz swojego ojca, a skoro zapłaciłeś mi, bym zawinął aż do Siedmiu Wysp, znaczy to, że on musi gdzieś tu być.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzekł Royce. – jesteśmy jedynie...

– Wędrownymi minstrelami, a jakże – powiedział kapitan. – Tyle że wcale nimi nie jesteście. Czy sądzisz, że trochę błota na tarczy twojego rycerza ukryje, kim on jest, albo sprawi, że znamię na twojej dłoni zniknie? Jesteś Royce i nie ma sensu temu zaprzeczać.

Mężczyzna patrzył na niego i Royce poczuł na sobie ciężar odpowiedzialności. Podejrzewał, że dalsze ukrywanie, kim jest nie ma sensu, lecz pomimo tego nie chciał przyznać tego wprost.

– A tobie co do tego? – zapytał stojący obok niego Mark.

– Chcę wam pomóc – oznajmił kapitan. – Rzekliście, że chcecie dotrzeć na Siedem Wysp, ale to rozległe ziemie. Mogę zawinąć do każdej z nich. Na którą chcecie się udać?

– Nie wiem – przyznał Royce. Gdyby wiedział, wszystko byłoby znacznie prostsze.

– Nie musisz kryć się ze swymi zamiarami – mówił dalej

kapitan. – Chcę wam pomóc. Rzeknij tylko, gdzie jest twój ojciec, a zabiorę cię prosto do niego. Rzeknij mi, gdzie jest.

W głosie kapitana pojawił się surowy ton, który nieco zbił Royce'a z tropu. Royce spojrzał na niego, próbując zrozumieć, co się dzieje, i sięgnął do zmysłów Iskry. Posłał ją nad statek i spojrzał na niego tak, jak nie patrzył od kiedy wypłynęli z portu; był zbyt zajęty wypatrywaniem wysp lub próbą nawiązania kontaktu z Lori.

Gdyby spojrzał na statek, zobaczyłby swoich kompanów na rufie, ze związanymi za plecami rękoma, ich rynsztunek złożony po jednej stronie i strzegącą ich grupę marynarzy.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Royce. – Natychmiast uwolnij moich przyjaciół!

Kapitan spojrzał na niego z wyraźnym zdumieniem, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co Royce potrafi.

– Magia! – powiedział kapitan, dając krok w tył.

Royce sięgnął do kryształowego miecza i zatoczył się. Zbyt późno zdał sobie sprawę, jak chwiejnie i niepewnie stoi na nogach. Bukłak! Coś było w bukłaku! Mark już na wpół leżał na relingu.

– Zaprowadzimy was do waszych przyjaciół – powiedział kapitan. – i być może zdołamy przekonać cię do mówienia, jeśli wyrzadzimy im krzywdę. Król wynagrodzi mnie sownie za ciebie, ale oni... Ich możemy pokroić jak tylko nam się podoba.

Klasnął w dłonie i podeszło do nich dwóch marynarzy. Chwycili Marka i Royce'a i pociągnęli ich na rufę.

– Dlaczego to robisz? – zapytał ostro Royce. Zdawało mu się, że jego słowa dochodziły zza mgły równie gęstej co ta, która otaczała znajdujące się coraz bliżej nich Siedem Wysp.

– A dlaczego ktokolwiek robi cokolwiek? – odrzekł kapitan, wzruszając ramionami. – Złoto! Mógłbym dopłynąć aż na Siedem Wysp i ryzykować, że roztrzaskam statek na skałach, ale mógłbym też wziąć twoje złoto, a później otrzymać także nagrodę za oddanie cię w ręce króla Carrisa.

– Pomóż mi, a ja znajdę sposób, byś otrzymał równie sowitą zapłatę – zdołał powiedzieć Royce. Nawet w jego uszach brzmiało to desperacko.

Kapitan roześmiał się.

– Niby jak? Nie masz złota. A możesz zamierzasz zostać królem? Za rozpętanie wojny nie ma zapłaty, chłopcze. Mnie jest całkiem wygodnie tak, jak jest. Czasem zabiorę kogoś tam, gdzie chce się dostać, innego sprzedam, gdy mogę otrzymać za niego zapłatę, albo obrabuję jakiś samotny statek. Całkiem dobrze żyję tak, jak jest.

Royce chciał uderzyć mężczyznę, ale marynarze trzymali go za nadgarstki, a bezwład, który go ogarnął sprawił, że miał trudności ze stawieniem im oporu.

– Och, marzy ci się bitka? – spytał kapitan. – Uwierz mi, po wysiłku, do którego mnie zmusiłeś, powstrzymałbym się. Tak daleko... Zabrałem cię tu tylko dlatego, że sądziłem, iż uda mi się oddać w ręce króla i dawnego króla, i ciebie. Ale nie zamierzam roztrzaskać mojego okrętu na tych skałach.

Royce'owi przeszło coś przez myśl; był to desperacki, niebezpieczny pomysł.

– Nigdy nie odnajdziesz mojego ojca, jeśli nie zdecydujesz się zejść na ląd – powiedział.

– A więc powiesz nam, gdzie jest? – spytał kapitan.

– Ja... – Royce udał, że opuszczają go siły. – Pokażę wam.

Kapitan zatarł ręce i pokiwał głową do marynarzy. Ruszył w stronę mostka, gdzie siedzieli związani Matilde, Neave i Bolis, a marynarz stał za sterem. Marynarze pchnęli Marka na pokład obok nich, a Gwylin poczłapał za nimi cicho.

Kapitan wyciągnął nóż i ruszył w stronę Marka.

– A więc twój przyjaciel wyjawia nam, gdzie znaleźć dawnego króla, a jeśli będzie nas zwodził, będę odkrawał cię kawałek po kawałeczku, póki tego nie zrobi.

– Nie musisz tego robić – odparł Royce. Nóż tak blisko gardła Marka wzmagał ryzyko, ale nie było innego wyjścia. – Poprowadzę was.

Oczami Iskry spojrział w dół, na skały i wraki tuż obok pierwszej z wysp. Kierując się wzrokiem Iskry, zaczął wydawać polecenia.

– Nieco na lewo – powiedział.

– Sądzisz, że ty decydujesz o tym, którądy popłyniemy? – zapytał ostro kapitan.

– Chcecie, bym zaprowadził was do ojca, czy nie? – spytał Royce. Wciąż czuł się bardzo słabo. Gdyby nie odebrało mu siły, mógłby usiec załogę statku i uwolnić przyjaciół. Jednakże w tej

sytuacji... w tej sytuacji jego plan był desperacki. – Jeśli mi nie wierzysz, patrz za ptakiem. Iskra nas prowadzi.

Kapitan spojrział w górę, a Royce przeniósł wzrok na Gwylima, zastanawiając się, ile rozumiał z tego, co się działo. Spojrzął znacząco na kapitana. Miał nadzieję, że to wystarczy. Patrzył nadal oczyma Iskry, pozwalając, by statek zbliżył się do lądu i czekając na swoją szansę...

– Teraz! – wykrzyknął Royce i bhargir skoczył, uderzając kapitana w pierś, w chwili gdy Royce chwycił za ster i szarpnął nim mocno, by skierować statek na skały.

Statek przechylił się, lecz Royce rzucał się już ku przyjaciółom. Był jednak otumaniony i czuł, jakby poruszał się w zwolnionym tempie. Odgłosy i obraz zażartej walki toczącej się nieopodal docierały do niego zniekształcone. Nie mógł przyłączyć się do tej walki – stał bardzo niepewnie na nogach – ale mógł spróbować uwolnić swych kompanów. Dobył kryształowego miecza i pochylił się, by rozciąć sznur krępujący rękę Matilde.

– Dzięki – powiedziała, rozcierając nadgarstki. – Ja... za tobą!

Royce obrócił się i zatopił ostrze miecza w piersi biegnącego na niego marynarza. Nawet tak niepewnym ruchem, ledwie trzymając się na nogach, Royce miał siłę przeszyć tego mężczyznę na wylot kryształowym mieczem. Marynarz zamachnął się i Royce poczuł uderzenie o zbroję w chwili gdy marynarz stanął bez ruchu, a później upadł na ziemię.

Royce uwalniał pozostałych, gdy podbiegł do nich kolejny

marynarz. Tym razem Iskra zanurkowała w dół i wbiła szpony w jego twarz, przytrzymując go w miejscu tak długo, że Bolis zdołał wypchnąć go kopniakiem za burłę.

Wtedy statek uderzył w skały i drewno jęknęło tak, jak gdyby wrywano cały las z korzeniami. Pokład przechylił się na bok.

Mężczyźni zsuwali się z niego z krzykiem do wody. Royce ujrzał, jak wynurza się z niej jakiś stwór, długi i podobny do węża, o wachlarzowatych płetwach i ostrych zębiskach. Stwór wychynął ponad powierzchnię, wznosząc się niczym wieża. W paszczy trzymał człowieka, który krzyknął, gdy cienkie, spiczaste zębiska zacisnęły się na nim. Dookoła innej ofiary stwór owinął się cielskiem i Royce usłyszał chrzęst gruchotanych kości, gdy ogromna bestia go zmiażdżyła.

Przez moment Royce zwyczajnie przyglądał się okrucieństwu śmierci, lecz po chwili zaczął osuwać się po deskach pokładu, ku rozwartej paszczy morskiego węża.

Schwycił się relingu i z trudem utrzymał się w miejscu. Mark, Matilde, Bolis i Neave także chwyтали się czego mogli, gdy statek roztrzaskał się na części.

– Co dokładnie planowałeś? – spytał Mark.

– Mniej więcej właśnie to – przyznał Royce. Roztrzaskać statek i wtedy zdecydować, co dalej. Był to czyn oparty jedynie na nadziei, który pozostawił ich na z wolna rozpadającym się w pół statku, a dwie jego części gotowe były wyrzucić ich na skały lub, co gorsza, wciągnąć ich w morską toń.

– Co teraz? – zapytała Neave. Jedną jej ręką opleciona była

wokół relingu, a druga wokół Matilde.

– Myśle... – zaczął Royce, próbując przedrzeć się przez mgłę, która mąciła mu myśli. – Myśle, że musimy skoczyć!

– Skoczyć w dół? – odezwał się Bolis. – Czyś ty postradał zmysły?

– Jeśli tu zostaniemy, wrak pociągnie nas za sobą – oświadczył Royce. – Musimy znaleźć się dalej, a to możliwe tylko jeśli zeskoczymy!

Był także inny powód. Po pokładzie w ich stronę biegli mężczyźni, a było ich zbyt wielu, by zdołał ich pokonać w takiej sytuacji. W jakiegokolwiek sytuacji. Gwylin stał obok, warcząc, z pyskiem unurzonym we krwi, ale co nawet taki stwór jak on mógł poradzić w takiej sytuacji?

Wyjście było tylko jedno, więc Royce puścił się biegiem w stronę swoich kompanów. Bez chwili wahania wypchnął Bolisa i Marka za burtę. Matilde wyglądała, jak gdyby chciała pozostać na pokładzie, ale Neave odciągnęła ją od relingu. Gwylin nie ociągał się. Warknął i skoczył do wody.

Pozostało tylko jedno. Royce wdrapał się na reling i spojrzął w dół na spienioną, wirującą wodę. Wsunął kryształowy miecz na powrót do pochwy z nadzieją, że zbroja, którą znalazł w wieży jest tak lekka, jak mu się zdaje...

... i skoczył.

Rozdział czwarty

Raymond stał na rozstaju dróg na skraju ziem należących do dawnego księcia ze swymi braćmi, wiedząc, że powinien ruszać w dalszą drogę, lecz zarazem nie chcąc jeszcze rozstawać się z resztą. Wkrótce on, Lofen i Gareth będą musieli rozdzielić się, by doprowadzić do skutku to, czego Royce potrzebował; czego oni wszyscy potrzebowali.

– Denerwujecie się? – zapytał resztę.

– Oczywiście, że nie – odrzekł Lofen z wyraźną brawurą. Lofen był zawsze skory do walki i być może ta cecha przysłuży mu się, gdy będzie próbował odszukać Pictów, lecz Raymondowi krążyło po głowie, iż byłoby lepiej, gdyby dysponował czymś więcej niż tylko mapą i ogólnym pojęciem, gdzie ich szukać.

– Zrobię to, co będzie trzeba – odpowiedział Gareth, wyraźnie starając się dorównać odwagą braciom. Raymond pragnął powiedzieć mu, że wie, iż Gareth jest dzielny – widział, jak silni byli jego bracia, gdy uwięziono ich w lochu Altfora. – Przekonam lordów, by przyłączyli się do nas.

– A ja wskażę ci tych, którzy nam pomogą – dodała siedząca na końskim grzbiecie obok niego Moira. Raymond sam nie wiedział, co sądzi o jej obecności. To, że była możnowładczynią mogło pomóc im w przeciągnięciu możnych na ich stronę, ponadto sama zgłosiła się, by im pomóc, ale Raymond widział już, jak Gareth na nią spogląda i wiedział, że wszystko się

skomplikuje.

– Upilnuj, byś był bezpieczny – rzekł Raymond do swego najmłodszego brata. Przeniósł wzrok na Moirę. Nie podlegało wątpliwości, że jest piękna i Raymond nie śmiałby winić jej za to, że możni ją porwali, ale to, że zgłosiła chęć wyruszenia z nimi w drogę budziło w nim niepokój. – Ty upilnuj, by był bezpieczny.

– Nie jestem dzieckiem – bąknął Garet. – Jestem mężczyzną, i wykonam tę pracę jak mężczyzna.

– Bylebyś przekonał do nas tych, których potrzebujemy – odparł Raymond.

– Moje zadanie jest łatwe – powiedział Garet. – To ty musisz przekonać lud, by powstał.

Raymond skinął głową.

– Powstanie. Zrobi to dla Royce’a.

Widział, jak jego brat potrafił nakłonić ludzi, by walczyli zacieklej i jak pokonał najgroźniejszego przeciwnika. Ściął tak zręcznego wojownika, jak ser Alistair, i poderwał do boju siły hrabiego Undine’a. Lud powstanie w imieniu Royce’a.

– Chyba czas się pożegnać – powiedział Lofen. W jego głosie nie było słyhać emocji, lecz Raymond wiedział, że kryją się one pod fasadą. Raymond żywił jedynie nadzieję, że jego brat wygłosi bardziej płomienną mowę, gdy stanie przed Pictami. Żywił także nadzieję, że będzie bezpieczny, gdyż wszyscy widzieli, do czego zdolni są dzicy, na wzgórzu przy głazie uzdrowicieli.

– Mam nadzieję, że nie żegnamy się na długo – odrzekł

Raymond. – Tylko pamiętajcie...

– Zbierz ich na zamku hrabiego Undine’a, a nie dawnego księcia – przerwał mu Lofen. – Tak, wiem. Powtórzyłeś to już kilkakrotnie, gdy tu jechaliśmy.

– Zamierzałem powiedzieć, żebyście pamiętali, że kocham was obu, bracia – powiedział Raymond. – Nawet jeśli jesteś bęcwałem, Lofenie, a Garet jest zbyt nieopierzony, by mieć w głowie choćby krztynę rozumu.

– Przynajmniej nie zachowujemy się jak kwoka, która się ze wszystkimi cacka – odpalił Garet. Obrócił konia i popędził go naprzód. – Spotkamy się niebawem, bracie, z armią u boku!

– Upilnuję, by był bezpieczny – powiedziała Moira, obracając konia i ruszając za Garetem.

– Upilnuj! – krzyknął za nią Raymond.

– Jesteś dla niej zbyt surowy – odezwał się Lofen, gdy ruszyli w drogę.

– Bardziej martwi mnie to, że Garet jest dla niej zbyt łagodny – odrzekł Raymond.

Zobaczył, że brat wzrusza ramionami.

– Przynajmniej ma u boku piękną kobietę, która zna tych, do których się udają. Czemu ta Neave nie mogła wyprawić się ze mną...

Raymond roześmiał się.

– Sądziś, że zainteresowałaby się tobą? Widziałeś ją z Matilde. Poza tym, łatwo przyjdzie ci odnaleźć Pictów. Wystarczy, że będziesz jechał przez dzicz tak długo, aż któryś z

nich strzeli w ciebie.

Lofen przełknął ślinę.

– Drwisz sobie, ale poczujesz się gorzej, jeśli powrócę przeszyty strzałami. Mimo tego wyruszę, by z nimi pomówić, i sprowadzę własną armię. Przekonamy się, jak ludziom spodoba się walka z dzikimi.

Obrócił się i ruszył w stronę – jak sądzili – ziem Pictów. Raymond pozostał sam na rozdrożu. W porównaniu z braćmi, jego zadanie zdawało mu się najprostsze: przekonać lud królestwa, który i tak był już niezadowolony z obecnych rządów, by przyłączył się do ich sprawy. Po tylu latach złego traktowania przez możnych służących królowi Carrisowi powinni być jak chrust, czekający na iskrę wznieconą jego słowami, by zapłonąć.

Mimo tego, gdy Raymond zwrócił konia w stronę jednej z wiosek i pogonił go piętami do kłusu, żałował, że jego bracia nie jadą obok niego.

* * *

Pierwsza osada była tak mała, że pewno nie oznaczono jej nawet na większości map. Miała nazwę – Byesby – i kilka chat, i nic ponadto. Tak naprawdę, była ledwie trochę większa niż spore gospodarstwo, bez żadnej karczmy, która mogłaby skupić miejscowych razem. Najlepsze, co można by o niej rzec to to, że przynajmniej nie strzegli jej żadni wartownicy służący jakiemuś miejscowemu władcy, którzy mogliby powstrzymać Raymonda

przed namówieniem ludzi do powstania.

Chłopak skierował się ku środkowi osady, gdzie obok dawno nienaprawianej studni stał niski drewniany słupek, przy którym oznajmiano wieści. Na ulicach pracowało kilkoro wieśniaków, a kolejni wyszli z chat, gdy Raymond zatrzymał się obok słupka. Pewno nieczęsto widywali tu mężczyzn w zbrojach. Możliwe, że uznali go za posłańca możnego, który władał tymi ziemiami.

– Wysłuchajcie mnie – zawołał Raymond z końskiego grzbietu. – Zbierzcie się tu wszyscy!

Z wolna ludzie zaczęli podchodzić do niego. Raymond stawał naprzeciw większej liczbie ludzi w boju, ale gdy powoli otaczali go ci wieśniacy, spostrzegł się, iż nigdy nie musiał przemawiać przed tłumem. Zaschło mu w ustach i spocily mu się dłonie.

– A ktoś ty? – zapytał mężczyzna wystarczająco krzepki, by być kowalem. – Nie mamy czasu na najeźdźców i opryszków. Podniósł w górę młot, jak gdyby chciał podkreślić, że nie są bezbronni.

– Dobrze zatem, że nie jestem ani jednym, ani drugim! – odkrzyknął Raymond. – Jestem tu, by wam pomóc.

– O ile nie zamierzasz pomóc nam w zbiorach, to nie wiem, jak miałbyś to zrobić – odezwał się inny mężczyzna.

Jedna ze stojących niedaleko starszych kobiet zmierzyła Raymonda spojrzeniem od góry do dołu.

– Przychodzi mi na myśl kilka sposobów, w które mógłby to zrobić.

Już sam sposób, w jaki wyrzekła te słowa wystarczyły, by

Raymondowi zrobiło się gorąco ze wstydu. Zwalczył to odczucie, lecz było to co najmniej tak samo trudne, jak zmierzenie się z przeciwnikiem w walce na miecze.

– Czy nie doszły was słuchy, że dawny książę i jego syn Altfor zostali pozbawieni władzy? – zawołał Raymond.

– A nam co do tego? – odkrzyknął kowal. Po tym, jak ludzie kiwali głowami, słysząc jego słowa, Raymond nabrał przeczucia, że ma we wsi posłuch. – Jesteśmy na ziemiach lorda Harrisha.

– Lorda Harrisha, który odbiera wam wszystko tak samo, jak inni możni – powiedział Raymond. Wiedział, że niektórzy spośród możliwych są lepsi, łagodniejsi w swych rządach, jak hrabia Undine, ale z tego, co pamiętał o władcy tych ziem, nie zaliczał się on do ich grona. – Ile razy muszą jeszcze wjechać do waszych wiosek, zawłaszczając sobie co wasze, nim powiecie im, że macie już tego dosyć?

– Musiałoby nam odebrać rozum – odkrzyknął w odpowiedzi kowal. – On ma żołnierzy.

– A my mamy armię! – zawołał Raymond. – Czy słyszeliście, że dawny książę stracił władzę? My tego dokonaliśmy, w imię prawowitego króla, Royce’a!

Zdawało mu się, że jego głos poniósł się głośno po całej osadzie. Raymond spostrzegł jednak, że w rzeczywistości ludzie stojący z tyłu mieli trudności z dosłyszeniem, co mówi.

– Ty jesteś Royce? – zawołał do niego kowal. – To ty podajesz się za syna dawnego króla?

– Nie, nie – wyjaśnił prędko Raymond. – Jestem jego bratem.

– A więc ty także jesteś synem poprzedniego króla? – zapytał kowal.

– Nie, nie jestem – odparł Raymond. – Jestem synem chłopca, ale Royce...

– No to zdecydujże się – przerwała mu kobieta, która go zawstydziła. – Skoro ten Royce to twój brat, to nie może być synem poprzedniego króla. To oczywiste.

– Nie, nie zrozumieliście – powiedział Raymond. – Proszę, posłuchajcie mnie tylko, pozwólcie wyjaśnić, a...

– A co? – zapytał kowal. – Objaśnisz nam, jak ten Royce zasługuje na to, byśmy za nim ruszyli? Powiesz nam, że powinniśmy opuścić naszą wieś i walczyć w cudzej wojnie?

– Tak! – krzyknął Raymond, po czym zdał sobie sprawę, jak to zabrzmiało. – Nie, to znaczy... to nie jest cudza wojna. Ta wojna dotyczy nas wszystkich.

Kowal nie wyglądał na przekonanego jego słowami. Podszedł do Raymonda i oparł się na studni. Nie był już częścią ciżby, lecz tym, który do niej mówi.

– Czyżby? – powiedział, przesuwając spojrzeniem po innych. – Znacie mnie tu wszyscy, i ja znam was, i wszyscy wiemy, co się dzieje, kiedy możni toczą wojnę. Przychodzą tu i zabierają nas do swojej armii, i obiecują nam różne rzeczy, ale gdy jest już po wszystkim, to my jesteśmy martwi, a oni powracają do tego, czym zajmowali się wcześniej.

– Royce jest inny! – nie ustępował Raymond.

– Czemu jest inny? – odpalił kowal.

– Bo jest jednym z nas – powiedział Raymond. – Wychował się we wsi. Wie, jak toczy się tam życie. Zależy mu.

Kowal prychnął śmiechem.

– Skoro tak bardzo mu zależy, to gdzie on jest? Czemu go tu nie ma, a jest tylko jakiś chłopak, który podaje się za jego brata?

Wtedy Raymond wiedział, że nie ma po co mówić dalej. Ludzie z tej wsi nie usłuchają go, bez względu na to, co im powie. Usłyszeli już zbyt wiele obietnic od innych ludzi w dniach, nim król Carris zakazał swoim możnowładcom walczyć pomiędzy sobą. Jedyne myślenie, iż Royce'owi w istocie zależy na nich zdołałaby przekonać ludzi, a kowal miał słuszość: nie mieli powodu, by w to wierzyć, skoro nawet go tu nie było.

Raymond zawrócił konia i wyjechał z osady z całą godnością, na jaką potrafił się zdobyć. Nie było jej wiele.

Jechał ścieżką prowadzącą do kolejnej wsi, rozmyślając i nie zważając na miarowy deszcz, który zaczął padać.

Kochał brata, lecz zarazem żałował, że Royce poczuł, iż musi odnaleźć swego ojca. Patrząc bezstronnie, Raymond rozumiał, jak bardzo odnalezienie poprzedniego króla przysłuży się ich sprawie, lecz to za Royce'em ludzie pójdą, to jego musieli zobaczyć, żeby powstać. Raymond nie był nawet pewien, czy bez niego zdoła zebrać jakąkolwiek armię.

To oznaczało, że kiedy król Carris odda cios, jedynie siły hrabiego Undine'a staną naprzeciw wojskom króla. Raymond nie wiedział, jak liczna będzie to armia, ale skoro utworzą ją siły każdego lorda w królestwie... nie będą mieli szans na

zwycięstwo.

Gdyby tylko Royce tu był, Raymond nie wątpił, że potrafiłby zebrać armię, której potrzebowali. Jednak w tej sytuacji pozostała mu tylko nadzieja, że Lofen i Garet będą mieli więcej szczęścia.

– Nie możemy jednak liczyć na szczęście – powiedział Raymond na głos. – Nie kiedy tylu ludzi może zginąć.

Widział na własne oczy, czego możni potrafili dopuścić się wobec tych, którzy ich rozgniewali. Były klatki, tortury na głazie uzdrowicieli, i jeszcze gorsze rzeczy. W najlepszym razie każda ze wsi, która się zbuntuje, zostanie zniszczona – co jedynie dawało tym, którzy pozostali, więcej powodów, by nie przyłączać się do buntu.

Raymond westchnął. Nie mógł dokonać niemożliwego: potrzebowali Royce’a, ale było to niemożliwe, gdy szukał swego ojca. Chyba że...

– Nie, to się nie uda – wymamrotał Raymond na głos.

Tyle że mogłoby się udać. I tak nikt na tych ziemiach nie wiedział, jak wygląda Royce. Być może słyszeli o nim, być może nawet słyszeli, jak wygląda, ale każdy wiedział, że opowieści zniekształcają prawdę.

– To niemądry pomysł – powiedział Raymond.

Sęk w tym, że inny nie przychodził mu w tej chwili do głowy. Owszem, byłoby to niebezpieczne, gdyż Royce’a ścigano. Owszem, spowoduje to problemy później: ludzie poczują się oszukani, gdy się dowiedzą, niektórzy pewno nawet zdezerterują.

Większa część jednak pozostanie z nimi. Większa część poczuje się zbyt związana ze sprawą, gdy stanie w szeregach armii, albo będzie zbyt zajęta walką, by o tym pomyśleć.

– Być może nawet nie zobaczą Royce’a z bliska – dumął Raymond.

Spostrzegł, że podjął decyzję, tak naprawdę jej nie podejmując, i jechał dalej drogą do kolejnej wsi. Wybrał osadę leżącą kilka wsi dalej, by nie dotarły do niej opowieści z Byesby i nie zniweczyły jego planów. Ta wieś była większa, miała gospodę i sporą stodołę, która służyła za ogólną przechowalnię zapasów. Była na tyle duża, by widok wjeżdżającego do niej jeźdźca nie zdumiał nikogo na tyle, by nakłonić go do wyjścia z chaty. Równało się to z tym, że Raymond musiał siedzieć na końskim grzbiecie na rynku i raz po raz krzyczeć do ludzi, nim ci wyszli do niego.

– Słuchajcie wszyscy. Posłuchajcie mnie! Przynoszę wieści!

Począł, aż ludzie zbiorą się dokoła niego, nim zaczął mówić.

– Zbliża się wojna! – powiedział. – Słyszeliście te opowieści: syn prawdziwego króla powrócił i obalił księcia, który ograbiał własnych ludzi! To prawda, a ja wiem, co teraz sobie myślicie. Sądzicie, że to kolejna sprzeczka pomiędzy możnymi, która nie ma z wami nic wspólnego, ale ja przybyłem tutaj, by rzec wam, że dotyczy ona także was. Że ta sprawa to zupełnie co innego.

– Ach tak, a niby to czemu? – krzyknął mężczyzna stojący na tyłach coraz liczniejszej cizby. Raymond miał wrażenie, że zaczynają powtarzać się wydarzenia z poprzedniej wsi.

– Bo to szansa na to, by dokonać prawdziwych zmian. Bo to nie jest sprzeczka pomiędzy możliwymi, lecz szansa, by stworzyć świat, w którym nie władają kilku możliwymi, trzymającymi nas w garści. Bo to jedyna walka, w której jednej ze stron naprawdę zależy na takich, jak wy, na takich, jak my wszyscy.

– Ach tak? – zapytał mężczyzna. – A kimże jesteś, przybyszu, że tak wiele wiesz na ten temat?

Raymond wziął oddech, wiedząc, że to chwila, w której musi albo to zrobić, albo nie – a gdy to się stanie, nie będzie już odwrotu.

– Mówże – nie ustępował mężczyzna. – Kim jesteś, by mówić, że jakiś odległy możnowładca dba o takich, jak my?

– To proste – odrzekł Raymond i tym razem jego głos rzeczywiście poniósł się po całej wsi. – Jestem Royce, syn króla Filipa, prawowity władca tego królestwa!

Rozdział piąty

Royce szedł ostrożnie przez las. Drzewa splatały się jedno z drugim, aż nie sposób było dojrzeć ścieżkę. Zgubił drogę, a coś podpowiadało mu, że zgubienie się w tym miejscu oznacza śmierć.

Nie zatrzymywał się jednak, bo nie wiedział, co innego miałby zrobić. Drzewa zwały się wokół niego, a ich gałęzie zaczęły wyginać się pod podmuchami niewyczuwalnego wiatru, napierając na Royce'a i siekąc go. Gałęzie raniły go do krwi, a obok nich pojawiły się naraz cierniste krzewy, wbijając mu się w skórę i zatrzymując go w miejscu. Musiał zebrać wszystkie siły, by iść dalej przed siebie.

Ale dlaczego miał iść dalej? Nie wiedział, gdzie jest, po co więc przeć tak naprzód, przez mrok i niepewne leśne drogi? Opuszczały go siły, czemuż więc nie miałby przysiąc na pniaku drzewa, złapać oddech i...

– Jeśli się zatrzymasz, umrzesz, mój synu.

Głos dobiegał spośród drzew i choć znał go jedynie ze snów, Royce natychmiast poznał, że należy do jego ojca. Obrócił się w stronę, skąd dochodził i ruszył przed siebie.

– Ojczy, gdzie jesteś? – zawołał, idąc w stronę, z której zdawał się dobiegać głos jego ojca.

Ta droga była jeszcze trudniejsza do przejścia. Musiał pokonać powalone drzewa, a każde kolejne przeskakiwał z coraz

większym trudem. Z ziemi wystawały głazy i Royce miał teraz wrażenie, że musi tyle samo wdrapywać się na nie, co biec, by je ominąć. Biegnącej przed nim drogi nie sposób było odróżnić od reszty lasu i Royce poczuł, że przytłacza go rozpacz, bo nie wiedział, gdzie jest.

Wtedy spostrzegł stojącego nieopodal białego jelenia. Nie ruszał się, patrząc na Royce'a wyczekująco. Z tą samą dziwną pewnością, którą odczuł wcześniej, Royce wiedział, że ten zwierz ma mu wskazać drogę. Odwrócił się w jego stronę i pobiegł jego śladem.

Biały jeleni był szybki i Royce musiał wyteńczyć wszystkie siły, by nie stracić go z oczu. Miał wrażenie, że wysiłek rozsadzi mu płuca, a kończyny paliły go żywym ogniem. Mimo tego biegł dalej pomiędzy chłostającymi go gałęziami, aż wypadł na polanę, na której jeleni zniknął, a zastąpiła go okuta w zbroję postać, obrzeżona białym światłem.

– Ojciec – odezwał się Royce, wciągając gwałtownie powietrze. Poczuł, jak gdyby brakło mu tchu, jak gdyby brakło mu czasu.

Jego ojciec skinął głową i uśmiechnął się, po czym, nie wiedzieć czemu, wskazał dłonią coś w górze.

– Musisz już stąd odejść, Royce. Kop, kop w stronę światła.

Spoglądając w górę, Royce dostrzegł nad sobą światło, a gdy usłuchał ojca, światło zaczęło przybliżać się coraz bardziej i bardziej...

Royce odzyskał przytomność, dysząc ciężko i krztusząc się. Pluł morską wodą i zaczął się podnosić, lecz czyjeś troskliwe ręce przytrzymały go w miejscu. Royce opierał się im przez chwilę, nim spostrzegł, że to Mark uciska jego brzuch, by wypompować z niego wodę.

– Ostrożnie – odezwał się jego przyjaciel. – Wywrócisz tratwę.

“Tratwa”, o której mówił, była ledwie kawałkiem masztu, który odłamał się, gdy okręt tonął, związanym z deskami. Razem tworzyły prowizoryczną platformę, kołyszącą się w górę i w dół na falach.

Bolis, Neave i Matilde klęczeli na prowizorycznej łodzi, nieco bliżej jej skraju siedział Gwyllim, a w powietrzu nad nimi kołowała Iskra. W boku Matilde widniała rana, którą mógł zadać nóż albo połamana deska. Tak czy inaczej, krew wyciekała z niej do wody, a Neave krzątała się przy niej, tnąc na kawałki żagiel, który miały posłużyć za bandaż. Ser Bolis usilnie próbował przymocować odłamek metalu do długiego kawałka drewna, formując z nich prymitywny harpun. Po jego własnej zbroi i orężu nie było ani śladu.

Royce spojrział szybko na siebie i spostrzegł, że kryształowy miecz nadal zatknięty ma u boku i zakuty jest w zbroję, którą zabrał z wieży hrabiego Undine’a.

– Nie wiem, jak zdołałeś w tym wypluć – powiedział Mark. – ale udało ci się. Wynurzyłeś się na powierzchnię jak korek, a ja wyciągnąłem cię z wody.

– Dziękuję – odparł Royce, wyciągając rękę do przyjaciela. Marka zacisnął na niej mocno swoją dłoń.

– Tyle razy ocaliłeś mi życie, że nie musisz mi za to dziękować. Rad jestem, że przeżyłeś.

– Tym razem przeżył – rzucił siedzący na dziobie ich prowizorycznej tratwy Bolis. – Nadal jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Royce rozejrzał się, próbując rozeznaczyć, co dzieje się dokoła nich. Zobaczył, że wyrzuciło ich głębiej w morze i Siedem Wysp znów było ledwie punktem na horyzoncie. Morze zaczynało się burzyć, jak gdyby miał rozpętać się sztorm. Tratwa jęczała pod ich ciężarem.

– Zapomnij o włóczni – powiedział Royce. – Musimy silniej związać tratwę.

– Nie widziałeś tego stwora, który pożerał ludzi – odrzekł Bolis. – Pożarł chyba wszystkich marynarzy, którzy pozostali na pokładzie tej większej części statku. Nie zamierzam zmierzyć się z tym morskim wężem bez broni.

– A czy zamierzasz zmierzyć się z nim w wodzie, gdy tratwa się rozpadnie lub zatonie? – skontrował Royce. Widział stwora, którego przeląkł się Bolis i wiedział, jak bardzo był niebezpieczny, jednak śmierć w wodzie była równie pewna.

Do masztu przywiązane były liny. Royce wskazał jedną z nich.

– Niech każdy chwyci za linę, która jeszcze niczego nie mocuje i wykorzysta ją, by związać tratwę. To teraz najważniejsze, później zajmiemy się wiosłowaniem, by dopłynąć do brzegu, a dopiero wtedy bronią.

– Łatwo ci mówić – odparł Bolis, ale usłuchał Royce’a. Także Neave i Mark poszli w jego ślady. Gdy Matilde poruszyła się, by im pomóc, osunęła się na miejsce, wykrzywiając twarz z bólu.

– Poradzimy sobie – powiedział do niej Royce. – Czy to poważna rana?

– Nie umrę od niej – odrzekła dziewczyna. – A przynajmniej... Nie sądzę, by miało się tak stać.

– Czemu ona może siedzieć i wypoczywać? – zapytał Bolis. Neave natychmiast znalazła się przy nim ze sztyletem w dłoni.

– Podaj mi jeden powód, dla którego nie miałabym cię wypatroszyć i rzucić rybom, najeżdźco.

Royce ruszył w ich stronę, ale Gwyllim go uprzedził. Bhargir wszedł pomiędzy nich, odsuwając ich od siebie.

– Nie możemy pozwolić sobie na kłótnie – rzekł Royce. – Musimy działać razem, albo wszyscy się potopimy.

Bolis i Neave mruknęli z niechęcią, ale wrócili do pracy i niebawem tratwa była już znacznie solidniejsza niż przedtem. Siedząc, Matilde usiłowała przymocować deskę do podłużnego kawałka drewna, składając z nich coś, co przypominało wiosło. Royce przyłączył się do niej i wkrótce każde z nich miało już wiosło.

– W którym kierunku? – zapytał Bolis, a Royce wyciągnął

rękę w odpowiedzi. Na takiej prowizorycznej tratwie możliwość była tylko jedna.

– Z powrotem ku wyspom – rzekł.

– I ku stworowi – zauważył Mark.

– Może nam się poszczęści i nas nie spostrzeże – powiedział Royce.

– Może już się nasycił – wtrąciła Neave ze spojrzeniem pełnym nadziei, że stwór pożarł każdego jednego marynarza na statku.

Royce nie wiedział, czy mogą na to liczyć, ale nie widział innych możliwości; musieli spróbować dostać się z powrotem na wyspy.

– Wiosłujmy równo – powiedział. – Gotowi?

Skierowali tratwę w stronę wysp. Każdy z nich pomagał, nawet Matilde. Choć wiosłowali wszyscy, z trudem posuwali się do przodu, bo ich wiosła nie całkiem się do tego nadawały, a fale uparcie spychały ich głębiej w morze. Royce wiedział, że nie mogą na to pozwolić. Na pełnym morzu utoną, zginą z pragnienia albo padną ofiarą jakiegoś innego stwora z morskich głębin. Ich jedyną nadzieją był ląd.

– Wiosłujcie mocniej – krzyknął Royce, by dodać im otuchy. – Jesteśmy już bliżej.

Tak było, ale posuwali się do przodu powoli. Gdy patrzył na nich oczami Iskry, byli małą kropką pośród rozległego oceanu. Ta kropka przesuwała się w stronę wysp, choć tylko o krztynę szybciej, niż gdyby kołysała się na falach niesiona prądem

oceanu. Mimo tego byli coraz bliżej celu, płynąc pośród mgły i skał.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – powiedział Mark i Royce usłyszał nadzieję w jego głosie. Patrząc na wyspy z góry oczami Iskry, Royce wciąż widział labirynt ostro zakończonych skał i spienioną wodę kotłującą się pomiędzy nimi, niemal zdeterminowane, by wepchnąć w nie każdy statek, który nazbyt się do nich zbliży.

Brzegi najbliższej wyspy zasypane były piaskiem, ale plaże te otaczały skały i rafy, pomiędzy którymi zdecydowanie zbyt szybko kołysały się fale. Przypatrując się im, Royce pomyślał, że być może lepiej byłoby skierować się ku którejś z pozostałych wysp, omijając z daleka tę – pomimo niebezpieczeństwa, w jakim się znajdowali.

Wtem Gwylim zawył i był to długi, niski, ostrzegawczy skowyt. Na ten dźwięk Royce zawrócił Iskrę nad tratwę, by spojrzeć w dół jej oczyma. Z góry Royce spostrzegł cień w wodzie, zbliżający się do nich raptownie...

– To ten stwór! – wrzasnął, opuszczając świadomość Iskry i powracając do swojej w chwili, gdy bestia wyłoniła się z wody tuż za tratwą. Jej wijące się cielsko przywodziło na myśl węgorza, miało także rozłożyste płetwy, a jej kły lśniły w słońcu.

Stwór rzucił się do wody nieopodal tratwy, posyłając w ich stronę ogromną falę, która nieomal ich wywróciła. Royce po części sądził, iż taki właśnie był jego zamiar; być może spostrzegł, że ludzi łatwiej pożreć, gdy unoszą się w wodzie.

Dobyl krysztalowego miecza, nie wiedząc, co innego mógłby zrobić.

Stwór wynurzył się z wody po raz kolejny i Royce ciął mieczem, zadając mu jedynie draśnięcie, gdy bestia zatrzymała się, górując nad nim. Opuściła na niego ślepią, jak gdyby chciała sprawdzić, co też takiego zadało jej ból. Rzuciła się na Royce'a, kłapiąc zębiskami, a młodzieniec odskoczył na sam kraniec tratwy, zamachując się na stwora. Gwyllim, który był niedaleko, rzucił się na bestię i wbił w nią kły.

Stwór rzucił się znowu na Royce'a, a ten obracając się odskoczył przed jej atakiem, czując jak jej płetwy uderzają z impetem w jego zbroję. Zgadywał, że gdyby nie ona, stwór rozplatałby go na dwoje, lecz nawet w niej poczuł, że traci dech i upadł na kolana.

Stwór obrócił się raz jeszcze i Royce wiedział, że tym razem nie zdoła przed nim umknąć.

Wtem obok pojawił się Bolis ze swoją prowizoryczną włócznią w dłoni i cisnął nią niczym harpunem w wieloryba, mierząc w łeb bestii. Broń trafiła w jedno z ogromnych ślepi morskiego węża, który wrzasnął z bólu. Ten dźwięk niósł się jeszcze echem nad wodą, gdy stwór uderzył Bolisa i zrzucił go z tratwy.

Ku zaskoczeniu Royce'a, Neave rzuciła się na tratwę, chwyciła rycerza i przyciągnęła go do siebie. Royce spostrzegł, że i Mark rusza przed siebie. Zdażyli w sam czas – ledwo wyciągnęli broczącego krwią rycerza z wody, a w miejscu,

w którym przed chwilą się znajdował, pokazała się wielka paszcza potwora. Royce dał krok naprzód i znów zadał cios kryształowym mieczem, i znów połała się krew.

To jednak nie starczyło; wąż morski był zbyt wielki, by miało go uśmiercić kilka ciosów mieczem – nawet takim, jak ten. Stwór dał nura pod wodę i Royce zobaczył, że się oddala, a jego cielsko wiję się pomiędzy falami.

– Ucieka – stwierdził Bolis, przyciskając dłonie do ran na piersi.

Royce pokręcił głową.

– Nie podda się tak łatwo.

– Ale odpływa – nie ustępował rycerz. – Walczyliśmy z nim, raniliśmy go, a teraz oddala się w poszukiwaniu łatwiejszej ofiary.

Royce potrząsnął głową.

– Nie ma innej ofiary, a my nie raniliśmy go aż tak mocno. On nie ucieka, a próbuje odzyskać siły.

I w rzeczy samej, Royce spostrzegł w oddali, że stwór zawraca i wijąc się płynie w ich stronę.

– Do wiosel! – krzyknął Royce. – W tym nasza jedyna nadzieja!

Wetknął kryształowy miecz do pochwy, chwycił za wiosło i zaczął wiosłować do brzegu najbliższej z wysp, nie dbając już o to, czy zniesie ich prąd, czy nie. Reszta także pojęła, co się dzieje i wiosłowała co sił, nie zważając na odniesione rany.

Royce poczuł, jak nurt porywa ich tratwę, przyciągając ją ku

brzegowi. Za nimi spod wody wynurzył się łeb morskiego węża, a jego paszcza rozwarła się szeroko, gotowa ich pochłonać.

Spojrzał w dół oczami Iskry i dostrzegł przed nimi nagie skały, wyraźnie widoczne z lotu ptaka, lecz przysłonięte falami. Royce wskazał w tamtą stronę.

– Na prawo!

Wszyscy zaczęli żywo wiosłować, kierując tratwę na prawo, choć nurt pchał ją w przód. Opłynęli skały, omijając je o włos i gdy Royce obejrzał się za ramię, zobaczył, że morski wąż zatrzymał się na nich i wije się, próbując się uwolnić, po czym odwraca się i znika w morskiej głębinie.

Royce rozglądał się już jednak w poszukiwaniu kolejnych skał. Byli już zbyt blisko wyspy, by móc skierować się w inną stronę, a nurt nieuchronnie pchał ich naprzód. Jedyna ich nadzieja kryła się w tym, by omijać skały.

– Na lewo! – krzyknął Royce.

Wiosłowali żywo i zdołali opłynąć kolejną grupę nagich skał, ale teraz przed nimi pojawiła się rafa, i Royce nie widział, by mogli ją w jakikolwiek sposób ominąć.

– Trzymajcie się! – zawołał do reszty i zobaczył, jak chwytają się tratwy w chwili, gdy uderza o skały pod powierzchnią wody. Royce poczuł, że leci do przodu i po raz drugi tego dnia znalazł się w wodzie, z trudem próbując utrzymać się na powierzchni.

Mark nie mylił się co do jego zbroi – było niemożliwe, by dało się w niej pływać, a jednak było nie gorzej, niż jak gdyby pływał w zwykłym odzieniu. Kopiać mocno nogami, wypłynął

na powierzchnię, gdzie podchwycił go nurt i popchnął naprzód.

Woda wypchnęła ich na ląd z siłą, która mogłaby ich porządnie poobijać i Royce upadł z impetem na piasek, gdy fala wyrzuciła go na plażę. Leżał, pojękując z bólu, a obok siebie na piasku zobaczył resztę – rannych Bolisa i Matilde, poobijanych Neave i Marka. Nawet Gwyllim zdawał się być sponiewierany tym przeżyciem, pomimo tego, jak szybko jego rany goiły się wcześniej.

– Żyjemy – odezwał się Mark i Royce usłyszał zdumienie w głosie przyjaciela. Po części podzielał to odczucie, wraz z radością, że jego kompani byli bezpieczni.

Nie, nie byli bezpieczni.

Przeżyli – to prawda – ale patrząc na wodę, Royce spostrzegł, że ich tratwa rozpadła się już na kawałki, które poniosły fale. Nie mieli teraz jak powrócić ani nawet przedostać się na inną z wysp.

Dotarli na jedną z Siedmiu Wysp, ale wyglądało na to, że na niej utknęli.

Rozdział szósty

Popiół wędrował w stronę portu, wszędzie dokoła siebie dostrzegając znaki. Z lotu ptaków odczytał, że właśnie tą drogą ma iść. W spienionej wodzie strumienia zaś, że ma wyprawić się za morze.

Wciąż widział także Royce'a, za każdym razem, gdy tylko zamknął oczy.

Ten obraz nie znikał od chwili, gdy wciągnął w płuca dym kapłanów i ujrzał różne wersje przyszłości. Ujrzał, co się stanie, jeśli nic się nie zmieni. Widział okrucieństwo, ból i śmierć.

– I dokonałem wyboru – powiedział do siebie. Te słowa wzbudziły w Popiele dziwne odczucie. Był Angarthemem, jednym spośród tych, którzy wędrują po świecie, nadając przyszłości taki bieg, jaki kapłani uznają za właściwy, i oddając tych, którzy musieli zginąć, ciemności, która następowała po śmierci. Angarthem nie dokonywał wyborów, nie próbował zmienić przeznaczenia.

– Kapłani zrobili to pierwsi – wyszeptał Popiół. Podniósł głowę, wypatrując potwierdzenia, że postępuje słusznie, i odnalazł je w przesuwających się po niebie obłokach, które ułożyły się w kształty odzwierciedlające te ze świętych ksiąg.

Kapłani usiłowali zmienić bieg wydarzeń, skierować je na inny tor, by uniknąć swego zniszczenia podczas tego, co miało nadejść. Wydarzenia nie toczyły się tak, jak chciało

przeznaczenie i ktoś musiał dokonać teraz wyboru – i zrobić to dla wszystkich. Tą osobą był Popiół.

– Zadam temu kres – powiedział. – Zatrzymam zniszczenie, które ma nadejść. Sprawię, że świat będzie lepszy.

Aby tego dokonać, musiał oczywiście powstrzymać Royce’a. Popiół widział różne wersje przyszłości, jedna po drugiej piętrzyły się przed nim. Jedynie nieliczne spośród nich kończyły się dobrze, jednak prawdą było, iż w większej części z nich czyny Royce’a prowadziły do wojny i czegoś gorszego jeszcze niż wojna: siały spustoszenie na ziemi, któremu trzeba było zapobiec.

Angarthimowie nie byli bohaterami; ci, którzy wiedzieli, kim są, uznawali ich za potwory lub morderców, nie pojmując, że są jedynie dobrze przeszkolonymi rękoma przeznaczenia.

– Ja nadal słucham głosu przeznaczenia – powiedział Popiół. Różnica polegała teraz na tym, że zamiast jednego życia darowanego mu przez kapłanów, rozciągała się przed nim cała przyszłość, mnóstwo możliwych wyborów. Każda z tych możliwości prowadziła do tego portu.

Popiół wszedł do portowego miasta, a ludzie przypatrywali mu się, jak zawsze. Dzieci pokazywały go palcami, a niektóre schowały się przed nim. Kilku mężczyzn położyło dłonie na broni i kiedyś Popiół zaatakowałby ich za to. Znaki śmierci znajdowały się ponad nimi, a wtedy...

– Ponad Royce’em ich nie było – wyszeptał Popiół do siebie, próbując zrozumieć to, co się dzieje. Znaleźli się razem w lesie,

on i chłopak, którego czyny miały zburzyć stary ład i zarazem sprowadzić na nich zniszczenie. Stali niedaleko siebie, a żaden znak nie nakazał mu uderzyć, działać.

Popiół nie rozumiał, dlaczego tak było.

– Odnajdę go – powiedział.

Mieszkańcy nie przestawali mu się przypatrywać. Było to nieuniknione, zważywszy na jego szarą skórę i pokrywające ją rozległe tatuaże, z których każdy był znakiem runicznym lub symbolem zapowiadającym przyszłość. Nie mógł żywić nadziei, by być zwyczajnym człowiekiem, ale być może mógł stać się kimś lepszym niż zwykły człowiek.

Popiół usiadł pośrodku głównego placu miasta. Było tam pusto, bo nikt nie chciał się do niego zanadto zbliżyć. Usadowił się na ziemi, krzyżując nogi i wyciągnął sakiewkę z wyrytymi na kamieniach runami. Próbował rozluźnić się, lecz błędził gdzieś myślami. Zwykle wszystko wyglądało zupełnie inaczej, gdy zaczynał patrzeć w możliwe wersje przyszłości.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.